

PAUza

Akademicka



Rok VII

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 301

Kraków, 11 czerwca 2015

Czy rzeczywiście wierzchołek góry lodowej?

JAN WOLEŃSKI

„Polityka” (nr 21/2015), s. 32–34, artykuł *Gang wyższej inteligencji*, w spisie treści *Gang habilitowany* zajęła się aferą grantową, której centrum znajdowało się na Politechnice Wrocławskiej. Bardzo dobrze, iż ta sprawa została podjęta, i to w bardzo ostry sposób, ponieważ zasługuje na takie potraktowanie. Naukowcy nie są objęci immunitetem, uchylającym odpowiedzialność za nadużycia popełniane przez nich. Moje zastrzeżenia nie dotyczą głównego problemu poruszonego w tekście o „gangu wyższej inteligencji”, ale kilku końcowych stwierdzeń ogólnych, powtórzonych za jednym z profesorów. Uważa on tak¹:

...„środowisko naukowe toczy poważna choroba. To *kolesiostwo*, rządzi zasada: *ręka rękę myje* [...]. W praktyce wygląda to tak: X. pomaga Y. załatwić tytuł profesorski. Potem Y. zasiada w komisji przyznającej granty naukowe i przepycha wniosek kolegi X. W zamian X., mając swoje wpływy, załatwia Y. zlecenie na napisanie recenzji z czyjejś pracy habilitacyjnej lub doktorskiej [...]. W środowisku znane są przypadki, że recenzje piszą sobie sami zainteresowani, a wyznaczeni profesorowie jedynie je podpisują i inkasują około 1,5 tys. zł za dzieło”.

Czy takie rzeczy, jak wyżej opisane, się zdarzają? Sam nie spotkałem się z nimi, w szczególności z pisaniem recenzji (na stopnie i tytuły) przez zainteresowanych, a potem podpisywaniem ich przez wyznaczonych profesorów, którzy pobierają za to honoraria. Przeprowadziłem krótki sondaż wśród znajomych profesorów na ten temat, ale żaden z nich z nie słyszał o takich przypadkach. Moje własne obserwacje i wyniki tego mojego sondażu nie są specjalnie reprezentatywne, ale nie potwierdzają oceny, że *kolesiostwo* dramatycznie drażni polską naukę. Nie ma wątpliwości, że w środowisku naukowym zdarza-

ją się protekcje, uzgadnianie interesów czy inne niezbyt chwalebne praktyki, np. bezzasadnego dopisywania się przez profesorów jako autorów do prac swych podwładnych czy hamowania karier młodych naukowców. W latach 2011–2014, gdy byłem przewodniczącym Komitetu Etyki w Nauce PAN, otrzymałem kilkanaście listów ze skargami, głównie adiunktów, na traktowanie ich przez przełożonych. Sporo, zważywszy, że KEN nie jest instancją orzekającą, a komitetem problemowym, ale zdecydowanie za mało do wysnuwania uogólnień.

Polskie środowisko naukowe liczy około 75 tys. osób (zaokrąglam te dane, zresztą niechlujnie przygotowane przez MNiSzW; stan na rok 2013); w tym jest około 11 tys. profesorów belwederskich i 14 tys. doktorów habilitowanych. Nie wiadomo, ponieważ autor cytowanej opinii tego nie wyjaśnił, czy owa habilitowana (bo cytowana wypowiedź dotyczy tego cenzusu) góra lodowa (lub *Gang habilitowany* wedle tytułu ze spisu treści rzeczzonego numeru „Polityki”) liczy sobie 25 tys. (minus tych, przypuszczalnie niewielu, których nie draży *kolesiostwo*), czy też trzeba traktować tę grupę jako populację statystyczną. Ponieważ zapewne ta druga perspektywa jest bardziej trafna, pojawia się kolejny istotny problem, mianowicie rozkładów postaw w tejże grupie. Czy *kolesie* stanowią tzw. statystyczną większość czy raczej margines statystyczny?

Załóżmy, że *kolesiostwo* podlega rozkładowi normalnemu. Jeśli tak, to *nie-kolesiów* jest (statystycznie) mało. Ale jeżeli *nie-kolesiów* jest 70%, to ci, którzy podpisują recenzje niesporządzone przez siebie i biorą za to honoraria lub też popełniają inne grzechy, wymienione w zacytowanej wypowiedzi, stanowią mniejszość. ►

¹ Kursywa pochodzi od tegoż profesora, normalny druk od autora artykułu w „Polityce”, redaktora Piotra Pytlakowskiego; cały akapit, gdzie można znaleźć niżej cytowane zdania, nosi tytuł *Wierzchołek góry lodowej*.

► To oczywiście obraz uproszczony, ponieważ rozmaite negatywy nie są rozłączne, tj. np. jedni *kolesie* zarówno podpisują recenzje nienapisane przez siebie, biorąc za to honoraria, a także uczestniczą w aferach grantowych, a inni *kolesie* załatwiają profesury i stanowią tzw. słupy we wnioskach o granty. Niemniej jednak, nawet jeżeli przyjąć, że *kolesiów* jest tylko 20%, jest to powód do niepokoju, chociaż nie do mówienia o wierzchołku góry lodowej. Nie wiemy jednak, jak wygląda rzeczywisty model statystyczny. Może np. odpowiadać jakiemuś innemu rozkładowi statystycznemu.

Nie mam zamiaru bronić środowiska akademickiego – jako składającego się w większości z aniołów. W samej rzeczy jest w nim sporo diabelskiego nasienia, aczkolwiek różnej rangi. Zawsze tak było, by np. wspomnieć dawniejsze przypadki zezwalania na habilitacje tylko pod warunkiem zobowiązania się kandydata do szukania stanowiska profesora gdzie indziej. Możliwe, że negatywne zjawiska w sferze postaw obecnych polskich ludzi nauki przekroczyły próg krytyczny, uniemożliwiający należyte funkcjonowanie naszej Akademii. Tego jednak nie wiemy, gdyż nie istnieje socjologiczny konterfekt polskiej nauki. Od czasu do czasu pojawia się postulat – np. został postawiony na wspólnym posiedzeniu Komitetu Naukoznawstwa PAN i Komitetu Etyki w Nauce PAN w 2014 roku

– aby przeprowadzić poważne badania nad tym, jacy są polscy naukowcy i – jeżeli byłoby to możliwe – także porównawcze z sytuacją w innych krajach. Nasi socjologowie są skłonni wykonać to zadanie, ale na razie kończy się na chęciach. Dopóki nie będziemy dysponować stosowną wiedzą, ogólne oceny aktualnego stanu rzeczy będą częścią oparte na dość fragmentarycznych indywidualnych spostrzeżeniach, a nie na sprawdzonej diagnozie.

Powoływanie się na to, co znane w środowisku (na ogół na podstawie wiadomości zyskanych z drugiej ręki) lub na afery „mające charakter rozwojowy”, jest wprawdzie spektakularne, ale mało sprawne jako podstawa do wysnuwania ogólnych wniosków na temat trwającej choroby lub wierzchołka góry lodowej. A to uniemożliwia nie tylko diagnozę, ale także badanie przyczyn, dlaczego stan rzeczy jest zły – o ile jest. Sam sądzę, że nie jest najlepiej, ale nie tylko z uwagi na ewentualnie przeważające *kolesiosstwo*, ile np. z powodu spętania nauki biurokracyjnymi fanaberiami urzędników (także z tytułem profesora), czyli tych, którzy „wiedzą lepiej”. Nie namawiam do milczenia w sprawach afer czy innych negatywów w nauce polskiej, a wręcz przeciwnie. Trzeba o nich głośno mówić i obmyślać sposoby, aby nadużycia się nie powtarzały. Niemniej jednak sugeruję powstrzymanie się od nadmiernych uogólnień.

JAN WOLEŃSKI

Pan
Prof. dr hab. Andrzej Białas
Prezes PAU i Redaktor Naczelny
PAUzy Akademickiej
w Krakowie

Poznań, 2 czerwca 2015

Szanowny Panie Prezesie,

Pozwalam sobie napisać do Pana po lekturze 299 numeru „PAUzy”. Jeśli uzna Pan ten list za głos w dyskusji i zechce go Pan opublikować w „PAUzie”, będę rad. Jeśli nie, nic nie szkodzi. I tak sobie ulżyłem.

Przeczytałem z uwagą *korespondencję* pomiędzy Panem i Panem Krzysztofem Kwiatkowskim, Prezesem Najwyższej Izby Kontroli. Przykro mi to stwierdzić, ale odniosłem się z podziwem jedynie do poziomu kurtuazji cechującej tę korespondencję. Poza dyskusją i oceną jest także Pana wiara w słowo pisane, kierowane do tzw. Polityków, oraz Pana uparte i (niestety!) niespotykające się z ich odzewem dążenie do naprawy „edukacyjnej i naukowej Rzeczypospolitej”. Pozwalam sobie jedynie na wyrażenie Panu mojego głębokiego szacunku.

Nie jestem Prezesem PAU, nie muszę więc sięgać szczytów kurtuazji. Mogę sobie natomiast pozwolić na stwierdzenie, że Pan Prezes Krzysztof Kwiatkowski potrafi nie tylko pięknie i długo mówić jedynie po to, by nie powiedzieć niczego, lecz także potrafi równie długo pisać o rzeczach oczywistych jedynie po to, by w niezbyt zawalowany sposób obciążyć środowisko akademickie winą za panoszącą się biurokrację. Wynika to wprost z udzielonej Panu odpowiedzi. Po jej dwukrotnym przeczytaniu odniosłem wrażenie, że NIK po prostu ratuje nas przed osunięciem się w otchłań bałaganu i społecznego szkodnictwa.

Trudno więc liczyć, że głos społeczeństwa, nawet wyrażony piśmem osoby Pana pokroju, przebiję zbroję samouwielbienia, Pana Prezesa Najwyższej Izby Kontroli.

Z głębokim szacunkiem i serdecznymi pozdrowieniami,

JERZY FEDOROWSKI

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu,
członek czynny PAU

(nie)Rozróżnianie

Niedawno (10–13 maja 2015) uczestniczyłam w ciekawej konferencji pt. *Etyka w nauce i życiu*, zorganizowanej w Toruniu przez Societas Humboldtiana Polonorum (SHP), Toruński i Krakowsko-Katowicki Oddział tej organizacji oraz Polskie Towarzystwo Chemiczne (PTCh).

Temat ujęto szeroko, dopowiadając w podtytule: *Normy i dylematy* – toteż z mojej pamięci i z notatek wyłania się szereg wątków wartych – jak sądzę – uwagi Czytelników „PAUzy Akademickiej”. Wykładowcy i dyskutanci postawili wiele pytań dotyczących spraw i w nauce, i w życiu podstawowych, na które o oczywiste odpowiedzi było trudno.

Najogólniejsze zapisał we wstępie do publikacji-przewodnika prof. Bogusław Buszewski z Wydziału Chemii UMK, prezes SHP i PTCh:

Co można uznać za postępowanie etyczne? Kogo aktualnie można uznać za człowieka renesansu, autorytet, mistrza? Jaka jest misja uniwersytetu? Czy moralność i przyzwoite zachowanie w domu, w pracy, w teatrze, w szpitalu nie są już w »modzie«? I nie są już »na czasie«? A może wręcz przeciwnie...

Przykład dylematu, charakterystycznego – moim zdaniem – dla obecnego stanu świadomości i wrażliwości moralnej, przedstawiła profesor Katarzyna Chojnacka z Politechniki Wrocławskiej w wykładzie pt. *Od nawozów mineralnych do bioproduktów: historia i synergia. Inna strona nepotyzmu*. Wątkiem ściśle naukowym była skomprimowana porcja wiedzy o badaniach nad możliwościami wykorzystania produktów przemian metabolicznych organizmów alg w rolnictwie, przemysłach spożywczych i kosmetycznym. Prof. Chojnacka ma pionierskie osiągnięcia badawcze i duży dorobek w zastosowaniach swoich wyników. Jest ekspertem Ministerstwa Rolnictwa. Przypuszczam, że na toruńskiej konferencji słuchający jej wykładu specjaliści z pokrewnych dziedzin mieli uwagę rozdwojoną między opisywane eksperymenty i przedstawiane osobiste losy uczoniej.

Te losy zaś odsłaniają zatracenie – w świadomości oraz w potocznym poczuciu środowiska akademickiego – zdolności do dość podstawowego rozróżnienia. Są po ludzku przejmujące, co wszakże nie wyczerpuje oceny osób ani uczelnianych struktur za te losy odpowiedzialnych. Odsłania zjawisko poważniejsze niż jednostkowe niezrozumienie albo zła wola.

Pani Profesor jest córką dwojga uczonych, Heleny i Henryka Góreckich, pracujących w tej samej, szerzej rozumianej, dziedzinie i na tej samej uczelni. Gdy poszła w ich ślady i szybko przechodziła kolejne szczeble kariery naukowej, rodziców zaczęły spotykać coraz bardziej dotkliwe ograniczenia możliwości rozwijania badań i kierowania zespołami naukowymi; a to pod kierunkiem Henryka Góreckiego pracowała, zorganizowana przezeń, grupa specjalistów w zakresie „chemii rolnej”.

Uczestnicy konferencji toruńskiej, wśród których było sporo cudzoziemców, dowiedzieli się, jak może wyglądać profilaktyka nepotyzmu, że najskuteczniejszą jej formą jest rozproszenie członków rodziny naukowej, najlepiej w dużym promieniu, a gdy trudno to zrobić, gdy żaden z nich nie decyduje się na zmianę kierunku badań (to zresztą w myśl aktualnych przepisów za mało), natrafia na nękanie polegające, w przedstawionym przypadku, na odbieraniu pełnionych funkcji, zamykaniu labo-

ratoriów, ograniczaniu udziału w programach krajowych i międzynarodowych. O takich doświadczeniach mówiła Profesor Chojnacka, która sama wyszła obronną ręką z dyktowanych obaw (nikt nie sformułował zarzutów) przed nepotyzmem działań władz uczelni. Trzeba przypomnieć, że owe działania były spowodowane zaleceniem zawartym w paragrafie 118 znowelizowanej ustawy o szkolnictwie wyższym, który mówi, iż między małżonkami oraz krewnymi pracującymi na tej samej uczelni nie może zachodzić relacja podległości. Obowiązujący od 2011 roku przepis w powszechnej opinii nie przyniósł oczekiwanych rezultatów, nie ograniczył nepotyzmu tam, gdzie on występował, a przyniósł szkody, jak te, o jakich usłyszałam w Toruniu, tj. nie tylko udręki osobiste, ale zakończenia w prowadzonych badaniach.

Sposób obrany przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego jest bardzo wymownym przykładem powszechnej – niestety – tendencji do kodyfikowania możliwie największej liczby ludzkich zachowań, jakie się zdarzają, często lub rzadziej, i jakie można przewidywać. Niepokoi to prawoznawców, ale jest wygodne dla praktykujących prawo, gdyż redukuje wysiłki sumienia nad rozróżnianiem i oceną zdarzeń. Przepis, który spowodował perturbację przedstawione na konferencji (o niezatrudnianiu krewnych), uwalnia od dociekań, czy w konkretnym przypadku mamy do czynienia z nepotyzmem czy też z tradycją rodzinną – chwalebna i pożądana.

W rozmowach z przedstawicielami rodzin inteligentnych, uprawiających – niekiedy od wielu pokoleń – naukę, napotykam i dziedziczenie zainteresowań oraz ambicji, i szukanie przez potomków innych ścieżek niż te, jakie wybierali przodkowie z obawy przed presją tradycji.

Rozróżnienie dobrej tradycji (przykładem mogą być wielopokoleniowe „szkoły prawnicze” w Polsce) i wynaturzenia moralnego, jakie stanowi nepotyzm, jest wariantem podstawowej dystynkcji, oddzielającej prawość od nieprawości i wydaje się nie tak trudne, by wymagało specjalnych prawnych regulacji i zabezpieczeń. Wymaga obecności w myśleniu o otaczającym świecie podstawowych norm, przez chrześcijan i żydów odczytywanych w Dekalogu (była o tym mowa w Toruniu). Zdarzają się zapewne sytuacje skomplikowane, niełatwe do oceny, ale nie bywają częste. Pragnąc postąpić uczciwie, człowiek znający Dekalog prawie zawsze wie, co ma zrobić, a czego mu zrobić nie wolno. Deontologie zawodowe i wszelkie kodeksy dobrych praktyk są „przepisami wykonawczymi” do tych dziesięciu podstawowych zasad, odnoszącymi się do sytuacji specyficznych dla wykonywania określonego zawodu albo funkcjonowania w określonym środowisku.

Postępowanie we wspólnocie – rodzinnej, koleżeńskiej, zawodowej, społecznej – regulują przepisy prawa. Bywają jednak zachowania i postęпки, które nie naruszają żadnego przepisu, a są niezgodne z normami przyzwoitości, których nie da się i nie powinno się chcieć skodyfikować, a których nabywamy w wychowaniu. Na konferencji *Etyka w nauce i życiu* mówiono o wychowaniu we wspólnocie akademickiej, o formowaniu charakterów i postaw potrzebnych w poznawaniu świata, we współpracy badawczej, w przekazywaniu ich z kolei własnym uczniom. Mówiono o rzeczach, które przestają być oczywiste, a są niezbędne i w nauce, i w życiu.

Lepsze polskie fiołki w polu...

Gorączka edukacyjna, jaka opanowała Polskę po odzyskaniu wolności, ewidentnie wchodzi w nową fazę. Po początkowym zachłyśnięciu się liczbami, dotarło już do opinii publicznej, że kluczowy jest jednak poziom wykształcenia. Stąd liczne głosy o poprawę jakości naszych szkół i uniwersytetów.

Głosy te nasiliły się zwłaszcza po ogłoszeniu dalekich miejsc najlepszych polskich uczelni w kolejnych rankingach szanghajskich, co zostało przyjęte przez media niemal za klęskę narodową.

A ponieważ słychać także głosy wskazujące na stopniowe obniżanie się poziomu studiów na najlepszych polskich uczelniach (sam brałem w tym udział), trudno się dziwić, że w wielu głowach pojawiły się wątpliwości, czy studia w Polsce są w ogóle coś warte. Wątpliwości zostały wzmocnione ostatnio przez zdumiewającą decyzję Resortu Nauki i Szkolnictwa Wyższego o przeznaczeniu dość znacznej kwoty na stypendia zagraniczne, dla absolwentów studiów *licencjackich*, decyzję dającą fatalny sygnał młodym Polakom.

W tej sytuacji wielu zdolnych i ambitnych młodych ludzi zaczyna marzyć o studiach na uczelniach z pierwszej dziesiątki lub ewentualnie pierwszej setki rankingu, czyli za granicą. A rodzice, których na to stać, już odkładają pieniądze.

Na pierwszy rzut oka to świetny pomysł. Korzystniej przecież zdobywać wiedzę na lepszej uczelni niż na gorszej¹.

A jednak...

Jednak uważam, że to duża pomyłka, zwłaszcza w przypadku młodych ludzi wybitnie uzdolnionych. Przede wszystkim dlatego, że cały argument jest oparty na fałszywej ocenie sytuacji. Rzecz w tym, że – aż do magisterium – poziom nauczania na najlepszych polskich uniwersytetach absolutnie nie jest niższy niż na najlepszych uczelniach na świecie (a w wielu przypadkach nawet wyższy). Dowody są liczne, ale najważniejszy

(i rozstrzygający) jest ten, że nasi (bardzo dobrzy) absolwenci, po skończeniu studiów w Polsce, wyjeżdżają za granicę, konkurują z absolwentami najlepszych uczelni świata i świetnie dają sobie radę. Czyli nasze uczelnie przygotowują ich znakomicie. Nawet obniżenie poziomu, obserwowane przez ostatnie kilka lat, nie zmienia tego faktu.

Dlaczego więc – zapyta ktoś – tak niskie pozycje w rankingach? Odpowiedź jest prosta: rankingi (w szczególności ranking szanghajski) nie mierzą jakości kształcenia na poziomie podstawowym (czyli do magisterium), tylko na poziomie wyższym, czyli doktoratu. I tu faktycznie przegrywamy (choć istnieją, oczywiście, nieliczne wyjątki). Przyczyn jest wiele, ich opis przekracza ramy tego tekstu (być może kiedyś do tego wrócę).

Powtórzę więc: Na poziomie podstawowym (licencjat, magisterium) dobre polskie uczelnie uczą LEPIEJ, a w każdym razie nie gorzej niż najlepsze uczelnie zagraniczne. Dla ludzi wybitnych, powtarzam: WYBITNYCH, wyjazd na studia za granicę nie ma zatem większego sensu. Owszem, pozwala nawiązywać kontakty i znajomości, co później ułatwia życie. Ale dla ludzi naprawdę wybitnych najważniejsze jest zdobycie solidnej podstawowej wiedzy, która pozwoli im później rozwinąć skrzydła, a nie szukanie łatwych dróg.

Zbyteczne dodawać, że nie jestem wrogiem studiów za granicą. To może być dobre rozwiązanie dla ludzi słabo zmotywowanych do studiowania, bo istnieją na świecie uczelnie, które (za wysoką opłatą) lepiej opiekują się średniakami. Zapewne istnieją też dziedziny nauki, które w Polsce są tak słabe, że faktycznie nie można w nich zdobyć porządnego wykształcenia. Ale z wyjątkiem tych patologicznych przypadków, polskie uniwersytety umożliwiają zdobycie *solidnej* podstawowej wiedzy na poziomie, którego nie powstydzą się żadne uczelnie na świecie.

Stąd trawestacja znanego dwuwiersza Kazimierza Przerwy-Tetmajera w tytule tego felietonu.

ABBA

¹ Mogą być – rzecz jasna – również kłopoty. Znam autentyczną historię o ojcu, który oświadczył córce: Dobrze, sfinansuję ci studia w Oxfordzie, ale jeżeli wyjdiesz tam za obcokrajowca, będziesz musiała mi pieniądze zwrócić!